XXIII. Kraków, 1 lutego 1920 r. Nr. 3.

„BOCIAN"

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie: z przesyłką pocztową 11 kor. 40 hal.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
KRAKÓW XV., ul. Kazimierza W. 63 (dom własny). Telefon Nr. 479

W Królestwie Polskiem i Cesarstwie Rosyjskiem:

Wyłączne zastępstwo i główny skład na Lwów w biurze K. BUCHSTABA, ul. Karola Ludwika 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. M. Dąbkowski, Łódź, Piotrkowska 62.

Redaktor: Konstanty Krumłowski.



— Pan hrabia Gołąbski...
— Niech się rozbierze i poczeka w salonie.
— Kiedy pan hrabia mówi, że nie ma dużo czasu.
— Nie ma dużo czasu? A więc proś go do sypialni!...

Myśliwskie szczęście.

U pana radcy przyjęcie.

Podano właśnie zająca w sosie śmietanowym. Poprostu poemat, nie zając! Oblizywali też goście palce, zając z półmiska nikł, jak kamfora, czemu się nikt nie dziwił, wiadomo bowiem, że zwierzowi temu zawsze się spieszy.

— Paradny! — zauważył mecenas — Zapewne radca sam...

— Tak!... — przerwała gospodyni — W sam dzień wigilijny...

— O!... To dobre *omen* na rok cały.

— Miałem wtedy w samej rzeczy szczęście — dodał pan radca.

— A gdzież go radca ustrzelił?

— Ustrzelił?... Ja go nie ustrzeliłem!... Ja go kupiłem w sam dzień wigilijny u Hawełki, ale dlatego mówię o szczęściu, że się nie spóźniłem, a to był ostatni! A jak tu obejść się przez święta bez zająca?...

Szarady złośliwe.

6. Łosoś?

Jeden z krakowskich adwokatów za napisanie skargi o 70 koron, policzył sobie koszta w kwocie 40 kor. Sąd utarł nosa kauzyperdzie i z 40 koron przyznał mu tylko 11 koron.

Łosoś jest to marynata
I nazwisko adwokata,
Który w kosztów robi *mues*
Panie Łosoś! *wu-sy-dues?*

Chociaż z pana mądra ryba,
Jest na ciebie środek chyba,
Gdy tak koszta ciągniesz chwacko
Licz się z Izbą adwokacką!

Na pensyi.

— I to jest, proszę pań, owo jajko Kolumba! — zakończył profesor swój wykład.

— A kiedy nam pan profesor powie o drugiem? — zapytały zaciekawione uczenice.

Bojaźliwa.

Samotnie na plantacyach
Panienka siedzi blada
A obok niej na ławkę
Pan obcy się przysiada.

Grzeczności pannie prawi
I patrzy jej w oczęta
Lecz panna oczy spuszcza
I milczy jak zaklęta.

Nareszcie nieznajomy
Sąsiadki pyta swojej
„Czy pani się naprawdę
Tak bardzo mężczyzn boi?"

Gdy pyta natarczywię
Tak po raz drugi, trzeci,
Odrzekła: „Ja się boję
Nie mężczyzn, tylko dzieci!"...

Dobra rada.

Lekarz zbadał pacyenta i wskazując na brzuch chorego, rzekł poważnie:

— Czy to zapalenie kiszek, czy co innego, tego dziś powiedzieć jeszcze nie mogę! W każdym razie toczy się tam jakiś proces!

— To możeby tam wsadzić jakiego adwokata — radzi ktoś z obecnych — Procesy to ich żywioł!... Kto wie, czy i tam nie dałby sobie rady!..

Przemiana gatunków.

Dziadek, karczmarz, nazywał się poprostu *Pischeles*. Powodziło mu się dobrze, został sam dziedzicem, a były właściciel jego ekonomem, nic też chyba w tem dziwnego, że syn pana *Pischelesa* zwał się już *Wasserstrahl*.

Prowadził on dalej interesy, odziedziczone po ojcu, bawił się nadto w spekulacye giełdowe, co odstąpił w późniejszych latach swemu synowi, który był właścicielem dóbr i bankierem w jednej osobie, a zwał się już z francuskiego *La Fontaine*, choć to był w prostej linii potomek starego Pischelesa.

Słuszny powód oburzenia.

— Przestałem już abonować *Kuryerka*.

— Czy dlatego, że zdrożał?

— Nie!... Z powodu, że przez niego nie mam w domu ani chwili spokoju. Dyabli ich nadali z tym wychwalanym paryskim Carpentierem! Wiem, że można ludziom zaimponować pięścią, ale nie myślał on, że do tego stopnia!... Zresztą tu pięść w grę nie wchodzi. Zona, przeczytawszy korespondencyę o tym człowieku, który miał podobno w samym Paryżu kilkanaście tysięcy narzeczonych, popatrzyła na mnie z politowaniem i rzekła: „Z ciebie byłby bardzo lichy Carpentier!" Córce wlazły znowu w głowę halki *à la Carpentier* i oświadczyła, że, niech się dzieje, co chce, ona musi mieć taką... Najwięcej kłopotu miałem przecież z synem, który chciał koniecznie wiedzieć, co to są *„ciepłe stosunki"*, jakie łączyły Carpentiera z niektóremi z narzeczonych. Powiedziałem mu, że się o tem dowie później. Mnie zaimponował, ale, broń Boże, nie pięścią, lecz wysokością zarobku. Trzydzieści tysięcy franków za sekundę, to nie bagatela!...

Wątpliwość.

Po Sylwestrze — Fiuta z Psiutą
(Bo sekretów nie ma przed nią)
Spotkała się by omówić
Jak spędziła noc poprzednią.

— Ah! co do mnie — mówi Fiuta
Ja bawiłam się wspaniale
I noc ową zapamiętam
W tegorocznym karnawale.

Szampan leje się strumieniem
Powiedz światła gra orkiestra...
— Ja — przerwała smutno Psiuta,
Ja przespałam noc Sylwestra...

I dodała z większym smutkiem:
A tembardziej mi nie miło,
Że dalibóg nawet nie wiem
Moja Fiuto! — gdzie to było!..."

STRACH MA WIELKIE OCZY.

(Zdarzenie podobno prawdziwe).

Pan Jan, poczuwszy wolę bożą, postanowił się ożenić. A nie przedstawiało to dlań zbyt wielkich trudności, miał bowiem ogromne szczęście do kobiet, co należy w ten sposób rozumieć, że każda, na którą spojrzał tylko, już mu się podobała! Czy i on także im się podobał, o tem milczą kroniki. W każdym razie stwierdzić należy, że był to, jak powiadają, „kawał chłopa", a taki, jeśli już wpadnie w oko jakiej podwice, to tak łatwo stamtąd nie wyleci.

Ale pan Jan był praktycznym człowiekiem dlatego też szukał takiej towarzyszki, która mogłaby mu zapewnić wygodne i beztroskie życie, zwłaszcza że matka-natura obdarzyła go niezgorszym apetytem. Jadł, aż się pocił, ale aż do skutku, wychodząc z założenia, że szkoda, aby się dary Boże miały marnować, lub... aby je miał sprzątnąć kto inny.

Z tego, a nie innego powodu zwrócił zatem swe afekty w stronę panny Maryanny, córki właścicieli realności w jednej z gmin okolicznych.

Była to dziewuszka pracowita i zapobiegliwa, a taka żona to dziś majątek, pozatem należało się spodziewać, że jej rodzice nie zapomną o młodej a głodnej parze i do małżeńskiego gniazdka będą nadsyłać różne smakołyki ze wsi.

Bo i cóż to dla takiego gospodarza zabić naprzykład świnkę, narobić szynek, kiełbas, kiszek, salcesonów i t. d. Krówki dają mleko, z niego się robi masło i ser, kurki znoszą zupełnie bezinteresownie jajka, jabłka i gruszki rosną co rok na drzewie, choć je nikt o to nie prosi.

Co wszystko dokładnie rozważywszy, bo płochym nie był, powiedział sobie pan Jan, że pannę Maryannę kocha i że ta, a nie inna... chyba, gdyby go nie chciała. Nie wątpił przecież, że od niej kosza nie dostanie.

I nie zawiódł się bynajmniej. Na zapytanie: „Czy chcesz być moją?" odpowiedziała, skromnie spuszczając oczy: „Tak!"

Wszystko zatem było na najlepszej drodze, rozchodziło się jeszcze o zezwolenie jej rodziców i w tym celu wybrał się pan Jan pewnej niedzieli do miejsca ich zamieszkania.

Przyjęli go z staropolską gościnnością, nakarmili i napoili do syta, zadowoleni, że tak dorodny młodzian, mający wszystkie członki ciała w zupełnym porządku, wybrał właśnie ich córkę, która z powodu wielkiego braku kandydatów do stanu małżeńskiego dzięki wojnie, mogła bardzo łatwo osiąść na lodzie.

A oni tak pragnęli doczekać się wnucząt!

To serdeczne a obfite przyjęcie wpłynęło jeszcze bardziej podniecająco na jego uczucia. Gdy się późnym wieczorem ułożył w wygodnem łóżku pod pierzyną, należycie najedzony i to nie byle czem, ale co było w domu najlepszego, mówił do siebie zadowolony:

— Teraz dopiero czuję, że ją naprawdę kocham!... Jedzenie paradne, wódeczka i piwko niezgorsze... Gdyby nie to, że mnie było wstyd, byłbym jeszcze jadł!... A ta pierzynka, jak gdyby umyślnie robiona na mój wzrost!... Spodziewam się, że ją Marynia dostanie we wianie.

I zanucił sobie pod nosem:

— Jaś z Maryńką pod pierzynką...

Powoli sen kleił jego powieki. Snił słodko o Maryni kiełbasie, własnym interesie i przez sen mruczał coś od czasu do czasu.

Spał, ale nie długo. Było jeszcze zupełnie ciemno, gdy otworzył oczy.

— Trochę zadużo zjadłem wieczór — mówił do siebie, wzdychając ciężko — Ale trudno! Taka sposobność nie tak prędko się znowu na darzy!... Chyba w dzień zaręczyn!...

Nadsłuchiwał, w domu panowała jeszcze zupełna cisza, widocznie wszyscy spali. I on rad byłby, gdyby mógł zasnąć, okazya, którą miał wracać do domu, odjeżdżała dopiero po ósmej.

Niestety, już mu się to nie udało. Po raz może setny obiecywał sobie, że już więcej nigdy nie przeładuje zanadto żołądka.

Po jakimś czasie usłyszał za ścianą ruch, potem rozmowę. Sciana była drewniana, każde słowo dochodziło więc wyraźnie do jego uszu.

— Aha!... To stary wstał i śpiewa godzinki!... — pomyślał pan Jan, nadsłuchując.

W kwadrans może, a może i później usłyszał, jak gospodarz budził żonę:

— Stara!... Wstawaj... już czas!... Wiesz przecież, że czeka nas ciężka robota!...

— Zaraz, zaraz! — odpowiedział głos żeński — Do rana jeszcze daleko! Załatw my się ze wszystkiem jak się patrzy.

— No, ubieraj się, ale nie hałaś, abyś go nie obudziła. Ja tymczasem wyostrzę nóż, a potem do roboty...

Panu Janowi zrobiło się jakoś niewyraźnie koło serca. Zaczął się zastanawiać nad tem, do czego też ten nóż może im być potrzebny i co to za robota ich czeka, z którą mają być gotowi przed ranem.

I cały zamienił się w ucho. Słuchał, by nie stracić ani słowa.

Po jakimś czasie stary widocznie już wrócił, gdyż odezwał się do żony:

— No, już wszystko przygotowane! Ale musimy się spieszyć, by do rana nie było ani śladu. Zdaje mi się, że nikt nie wie, że on jest u nas.

— Pewnie! — mówiła żona — Choć powiem ci, że mi go żal. Taki jesze młody! A uważałeś, z jakim apetytem jadł wczoraj kolacyę?

Ważne pytanie.

Pan profesor Obijtylski
Bestya zła i nieużyta — —
W szóstej klasie ma godzinę
Z gramatyki uczniów pyta.

— Powiedz-że mi Nosodłubski,
Boś jest osioł, że aż miło!...
Powiedz-że mi ty próżniaku
Zdanie gdzieby dziecko było!...

— Dziecko? — uczeń się zamyślił
I po chwili odpowiada:
„Musi za mąż iść koniecznie
Starsza córka u sąsiada!“

Pan profesor dał mu po łbie
Grubą gramatyką grecką
I zawołał: „Ty idyoto!...
Powiedz mi, gdzie tu jest *dziecko?!*“

— Jeszcze niema — mówi chłopiec
I na belfra z trwogą zerka
Ale ma być w tym miesiącu,
Tak mówiła akuszerka!...

⊙ ⊙

Źle zrozumiała.

Po odpuście w sąsiedniej wsi wracał ksiądz dziekan do domu. Starowina miał dobre serce, zaprosił też na wózek nauczycielkę, którą spotkał w drodze.

Dzień był postny, ksiądz dziekan objadł się jaj na twardo, których był amatorem. Upominały się też i one o swe prawa, nawet wcześniej, niż się spodziewał...

Gdy zbyt zaczęły się dawać we znaki, starowina trzymając się za brzuch, zaczął jęczeć:

— Ach, te jaja!... Ach, te jaja!...

Ale i nauczycielka, zresztą każda kobieta, miała także dobre serce i czuła na ludzkie cierpienia, słysząc zatem narzekanie, pyta naiwnie:

— Może ksiądz dziekan źle siadł?... Proszę wstać, ja poprawię siedzenie!...

Znawca sztuki.

Teraz kupuje obrazy każdy, kto tylko ma pieniądze. Tym wojennym znawcom sztuki rozchodzi się głównie o to, aby ramy były bogate, a obraz jak największy i. co najważniejsze... aby „towar“ był przedwojenny!

Pan Kohn traktował też o nabycie obrazu, zatytułowanego „Przejście Żydów przez morze Czerwone“. Obraz mu się podobał, był bowiem potężnych rozmiarów, a ramy miał aż zanadto złote, a co tam narobił artysta na samem płótnie, to jego nie obchodziło. W każdym razie było płótno i to zamalowane!

— Ja panu powiem, panie Kohn — zachęcał handlarz — że taki drugi obraz to pan nie znajdzie tak prędko!... To jest coś!

— Tak!... Ale cena!... Pięć tysięcy koron? — stękał Kohn.

— Co to jest pięć tysięcy?... Pan jednego dnia zarobi więcej!... A pomyśl pan tylko!... Za pięć tysięcy masz pan całkiem autentyczne morze Czerwone, Żydów, Egipcyan... I co pan jeszcze chce?

Kohn popatrzył na obraz i ujrzał na środku płótna wielką czerwoną plamę i więcej nic.

— To jest, wiedz pan — tłumaczył handlarz — morze Czerwone!... Ono jest nawet bardziej czerwone, niż prawdziwe, bo malarz, to jest *fein* artysta i farby nie żałował.

— Nu!... A gdzie są Żydzi?

— Żydzi?... Oni już dawno przeszli!

— A Egipcyany?

— Te z przeproszeniem cholery już się potopiły!... Nawet lepiej, że niema dużo osób, bo pan łaskawy byłby w kłopocie, na którą pierwej patrzeć!... Niech mnie szlag trafi, jeżeli tu samej farby czerwonej nie wyszło za pięć tysięcy!...

⊙ ⊙

Oświadczyny.

(Podsłuchane.)

— Ja... ja... moje pa... pa... pa.. panno Franiu, myśli mam stale przy pa... pa... pani!... Czy mogę się spo... spo... po... po... dziewać?

— Proszę, niech pan to wyjąka mamie!



Sytuacya bez wyjścia.

Rok kochałem się już prawie
W mem dziewczątku miłem,
I zazdrośnie, a ciekawie
Kroki jej śledziłem.

Raz spotkawszy na spacerze
Serca mego donnę
Wyjawiłem lubej szczerze
Uczucia dozgonne.

Że w mem sercu miłość żywię
Bez skazy i plamy
Tak doszedłem ględząc tkliwie
Aż pod próg jej bramy!

Tu krzyknąłem: Czyż nie racya
To, co powiedziałem,
Że bez wyjścia sytuacya
Jest moim udziałem!

No to, rzecze ukochana,
Wzrok spuściwszy skromnie:
Ależ wyjście jest dla pana
Wprost na górę... do mnie!

Fatalne omyłki druku.

Z wykładu: Barwnym ryjem kreśli mu poeta przyjemności życia sielskiego.

⊙ ⊙

Z nowelki: Na rogu ulicy Sobaczył pan Stefan Dranię...

⊙ ⊙

Z protokołu sądowego: Wyrok sądowy wraz z motykami doręczony zostanie stronom na piśmie.

⊙ ⊙

Z ogłoszenia: Bufet, gorący i zimny. Trutki pierwszorzędnej jakości.

Aż radość brała patrzeć! Dopiero to cieszyłaby się Marynia, gdyby tu była.. Ona go tak lubi!...

Pan Jan zrozumiał, że to o nim mowa, nadsłuchiwał zatem jeszcze pilniej, ale nie mógł pojąć, jaki związek ma mieć z nim owa robota, do której trzeba noża, a której przed świtem trzeba usunąć ślady.

— Ale co Marynia powie? Musi się przecież o tem dowiedzieć. Wyobrażam sobie, jak będzie płakała! — mówiła stara.

— Trudno! — odpowiedział mąż — Ja już na to nie poradzę! Swiatła dziennego już nie zobaczy, choć, przyznam się, że i mnie go żal! W tak młodym wieku pożegnać się ze życiem!

Teraz rozjaśniło się już panu Janowi! Więc to oni jemu przygotowują śmierć! Ale za co? Blady strach siadł mu na ramieniu, a włosy stanęły dęba na głowie!...

Co tu robić?... Chyba wołać ratunku?! Ale to się na nic nie zda, owszem, może tylko przyspieszyć krytyczną chwilę. Nie pozostaje nic innego, jak w ucieczce szukać ocalenia.

I zbierając się pospiesznie, zapłakał gorzko nad swym losem, że tak rychło wiatr przykrej rzeczywistości rozwiał złote sny o szczęśliwej przyszłości.

W kilka minut był gotów, cichutko otwarł okno i jednym susem był już w ogrodzie, a za chwilę na gościńcu.

Tu dopiero odetchnął, czując się bezpiecznym, choć noc była ciemna, a okolicy nie znał. Szedł jednak przed siebie, tą drogą, którą tu przyjechał.

Ale szczęście, które go uratowało od niechybnej śmierci pod nożem tego bandyty, widocznie go nie opuściło, we wsi bowiem napotkał patrolującego żandarma i opowiedział mu całe zajście.

Żandarm poszedł sam na miejsce, każąc mu czekać, póki go nie wezwie.

Łatwo sobie wyobrazić zdziwienie i przestrach gospodarza, gdy w drzwiach ujrzał groźną postać stróża bezpieczeństwa. A miał widocznie nieczyste sumienie, gdyż nogi się pod nim zatrzęsły, a nóż, który trzymał w ręku, upadł na ziemię.

— A co? — rzekł żandarm, śmiejąc się z tryumfem — Nie udało się! Przyszedłem jeszcze na czas, aby przeszkodzić zbrodni!

A on nic nie odpowiadał, patrząc bezradnie na żonę.

A żandarm mówił dalej:

— Więc to miało się stać dziś przed wschodem słońca, aby do rana można było usunąć ślady?... I wy mielibyście sumienie?... I nie żal wam młodego życia?

— Proszę pana wachmistrza, teraz takie ciężkie czasy, że mięsa się nie dokupi, a jeść przecież trzeba!

— Jakto?! Więc chcieliście go i zjeść?... W takim razie zachodzi tu i zbrodnia usiłowanego ludożerstwa!... Czegoś podobnego u nas dotąd nie było!...

W tej chwili odezwał się gospodarz:

— Niech pan wachmistrz tak głośno nie mówi! Tam za ścianą śpi gość. Pocóż ma to słyszeć!...

— On już nie spi! Miał może czekać, aż go we śnie dosięgnie cios skrytobójczy?...

— E!... Tu spokojna okolica!... Może być pewnym, że mu u nas włos z głowy nie spadnie!

— Jakto?... A przecież chcieliście go zabić!

— Zabić?... Jego?... W imię Ojca i Syna i Ducha świętego! — i stary przeżegnał się, sądząc, że żandarm cierpi na pomieszanie zmysłów.

— Tak, jego! Na szczęście jednak nie spał, usłyszał waszą rozmowę i na czas jeszcze uciekł, a spotkawszy mnie na drodze opowiedział wszystko.

— Ależ panie!... W takim razie muszę już panu powiedzieć prawdę. Miałem zabić, to prawda, ale wieprza!

— A dlaczegóż ta tajemnica, te przygotowania, ta obawa, aby kto nie zobaczył?

— Bo, proszę łaski pana wachmistrza ten wieprz nie był meldowany w gminie. Kupiłem go w sąsiedniej wsi i przywiozłem bez pasportu. Miałem go już przedtem zabić, ale córka wyprosiła mu życie, mówiąc, że go sobie weźmie na gospodarstwo. Ale trudno...

Zandarm musiał uwierzyć, zwłaszcza gdy spostrzegł niecki i inne przygotowania, bez których byłoby się obeszło, gdyby szło o zamordowanie złowieka.

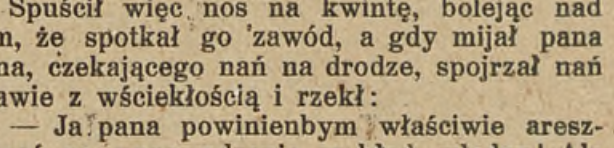
Spuścił więc nos na kwintę, bolejąc nad tem, że spotkał go zawód, a gdy mijał pana Jana, czekającego nań na drodze, spojrzał nań prawie z wściekłością i rzekł:

— Ja pana powinienbym właściwie aresztować za wprowadzenie w błąd władzy! Ale dam spokój!

I chciał odejść, ale Jan go nie puścił, żądając wyjaśnienia i dziwiąc się, że mordercy nie prowadzi do więzienia. Zatem wyjaśnił mu całą sprawę, a teraz z kolei pan Jan zrobił rzadką minę. Wracać nie wypadało, trzeba się raz na zawsze wyrzec się nadziei tak różowo zapowiadającej się doli.

I przyszło mu na myśl, że sam winę ponosi, gdyby bowiem nie był przeładował żołądka, byłby spał spokojnie i nie słyszał rozmowy, która mu niepotrzebnie tyle strachu napędziła...

Maryni naturalnie nie pokazał się już na oczy.





— Kuchareczko! proszę prędko na salę!
— A to poco?
— Jeden gość w tej chwili wołał: Mała, czarna, tylko prędko!



— Godzina jedynasta, a tyś jeszcze nie ubrana!... Lada chwilę przyjdzie twój narzeczony.
— Dlatego właśnie się nie ubieram!



— Proszę pani! tęn gość dał mi zamiast karty wizytowej sto koron i kazał się zameldować.
— A więc czegóż stoisz?... Prosić!



Nie ma dzieci już!

— A więc uciekasz z Jankiem! Czy to już nieodwołalnie?
— Tak jest! Czekamy tylko pierwszego, bo Janek dostaje miesięcznie od ojca 10 koron na cukierki!...



— Czy pani się boi upaść?
— Mów pan wyraźnie: w tańcu czy ogółem?



— A dokąd idzie pani po balu?
— Z panem do bufetu, a z mężem do domu.



— Czy pan także cierpi na bezsenność?
— Niewypowiedzenie!... To też zawsze biorę lekturę do łóżka.
— Panie! to cynizm mówić przy mnie o swoich kochankach!



„Te wspomnienia to rzecz święta
„Facet płaci alimenta,
„Płaci chociaż nie jest winny,
„Chociaż frajdę miał kto inny.“

Ferdek Eleuteryk.



Pani Tabesowo w Paryżu' któro była przepowiadajonco to, co się nigdy stać nimiało, spoczywo już w spokoju — świć jij Panie kolorowemi latarniami — bo wyciongnena kopyta na żywot wieczny. A co najważnijsze, nie spodziwała sie, że sie to stanie tak pierdziutko, albowiem, choć stary kozok, furt była przy nadzieji, że doczeko końca wojny. Ano, doczekała sie, ale ino końca życia.

I już myśleliśmy, że nikt nam nie bedzie prorokowoł i kuždy som se makówe był suszoncy, rozmyślajoncy nad tem, jaki bedzie rok 1920.

Jo, choć nimom takigo przyrodzynio prroroczygo, jak owo marmuzela, wykarkulowałem se na spółke z Wickiem i Makolongwom, że rok ten bedzie o jeden dziń dłuższy, bo jest przestepny, a że sie zaczon, jak zawdy pirszygo stycznia, a skończy sie tyż wedle zwykłygo porzondku w Selwestra, winc som rozum godo, że dni, abo noce muszom być krótszejsze. My, jako ludzie pracy, bylimy za tem, aby dni były krótsze, warsiawskie ministry uradziły jednak, że trza skrócić noc, aby zaśparować na oświetleniu.

Ale jak sie o tem brzany dowiedziały, narobiły gwołtu, twierdzonc, że to zamach na jich prawa, bo noc jest do nich należonca. I o mały figiel, a bez takie głupstwo byłby sie znów gabinet krenciproszka Skulskigo rozlatujoncy.

A czy wicie Państwo, skróś czygo brzany nabrały takigo ducha i tak sie ostro postawiły, że mógby im tygo niejedyn chłop pozazdrościć?

Pewnikiem nie wicie, ale jo wiem, bo jo mom z brzanami stosunki i to nawet bardzo ciepłe (choć na polu mróz!...), jak grypsali w *Kuryjerku* o jakimś Karpenterze, majoncym worom pieńść, którom na kawołek codzinnygo chleba jako bokser jest zarabiajoncy. A nie jest to nasz magistracki chlib z zakalcem, ale piekny biały chlebuś z masełkiem prosto od krowy, bo ci ten binios za jednom sekonde est trzydzieści tysincy i to franków, a nie marnych korunek zarabiajoncy.

Tak stało w *Kuryjerku*, a musi to być najprowdziwszo prowda, bo on przecie jeszcze nigdy nie zbrechał...

Otóż o nim pisali, że mo „ciepłe stosunki" z brzanami, a samych narzeczonych w Paryżu kilkanaście tysincy, nie mówioncy już o żonach, choć dotond jest kawalerem.

I nie dziwioncy sie jestem, że chłop z takim rozmachem móg brzanom zaimponować. Jo ta na jigo miñśnie jestem gwizdajoncy, a wolałbym mieć jigo zarobek.

Ale to do rzeczy nie noleży!

Otóż brzany skróś tygo takij nabrały fantazyji, że — używajonc słów naszych wielgich szmaciorzy — na paryskim horyzoncie była sie, niczym owo kumeta bez ogona, pojawiajonco nowo proroczo gwiazda, któro tyż przepowiado, co jij sie przyśni, to nagrypso, wydurkuje, a potym pewnikiem, tak, jak pon Rogalski, roznosi swe dzieła na sprzedaż.

Wabi sie una *madam Felem*. Czy jest staro, czy młodo, tego nie jestem wiedzoncy, ale to pewne, że wydała już na świat swe przepowiednie, z któryah dowiedzieliśmy sie mindzy innemi, że w roku 1920. kubita zdobendzie we Francyji swe prawa, co włośnie znaczy, że wywróci cały świat do góry nogami. Bo tak sie stać musi, jeśli brzana mo powiedzieć, że już dość dla nij, i że se wincyj nie jest winszujonca.

Otóż i nasze brzany, wyczytawszy, co rzekła pani Felem, pedziały sobie, że i na nie kolij, jako, że my z Francyjom jesteśmy *gut frajnd*, i skróś tygo tak sie ściorcujom, choć już teroz majom większyjsze i szyrsze... naturalnie prawa, a nie to, co może kto se myśloł (bo jo Wos znom!... Kuždymu tylko z przeproszyniem figle w makówie!...), niż Francuzice, które do Syjmu nie som ani wybirajonce, ani nimogom być wybirane.

Brzany zatym gwarzom, że teroz na nie przyszed czas, a z chłopami, którzy som do niczygo, bo nawet wojny nie wyprali, z przeproszyniem do... latarni! Trza je było tam puścić, a bylibyśmy widzieli, jakby dziś Europa wyglondała!

I ino patrzyć, jak brzany wtryniom sie do gabinetu i chycom w swojom grabe cały jenteres poletyczny. A że brzana umi rzondzić, to kuždy z nos, o ile jest żeniaty wi, a nieroz mioł sie o tem sposobność przekonać i na swyj własnyj skórze.

I pewnikiem co do owygo skrócynio dnia postawiom na swoim. A my, bidoki, musimy sie na to być zgadzajoncy, choć prowde mówioncy, to i nasze było tyż życzynie.

Trza sie bedzie ino postarać, aby syjm był wydajoncy ustawe o spoczynku nocnym, podobnom do tyj o spoczynku niedzielnym, bo to właśnie brzany lubią być nocnom porą spokój monconce i w śnie przeszkadzajonce. A w Piśmie świntym stoi jak byk, że noc jest do spania, a kto sie w nocy nie wyśpi, chodzi cały dzin zaspany i potym posondzajom go o różne paskudne rzeczy, choć on mo suminie tak czyste, jak nie przymirzajoncy... krakoskie tretuary...

Sylwetki warszawskie.

Adolf Nixwert Narwaczyński.

Tu w Krakowie jako bachor
Nosił w zębach swą koszulę
Tu w Krakowie się wychował
Tu jadł śledzie i cebulę.

Tu uznany za „naszego"
Bo miał kolor włosów świński
Zaczął żyć w literaturze
Adolf Nixwert Narwaczyński.

Tu u „Turla" i u Schmida
Pił na kredyt czarne kawy
Tu się głosił anarchistą
I zwiał wreszcie do Warszawy.

Tu pan Nixwert Narwaczyński
W gronie dzikich jak sam żaków
Pokazywał ludziom język
I z Warszawy plwał na Kraków.

I ten dawny postępowiec
Stał się dziś antysemitą,
Bo to znacznie lepszy „geszeft"
Zapewnione mieć koryto.

Tak się zmienił Narwaczyński
Tak się wszystko w świecie zmienia
Zaparł się pan Narwaczyński
Żydowskiego pochodzenia.

Kruk.

O której myślał?

W wagonie kolejowym siedzi dwuch panów, jeden starszy agraryusz *recte* wozignojek, drugi, jak się potem okazało, adwokat.

Rozmowa toczy się w najlepsze. Szlachcic opowiada, że jedzie do Krakowa, ma bowiem proces ze swym sąsiadem i jest w kłopocie, do którego się zwrócić adwokata...

— To doskonale się składa, panie dobrodzieju — towarzysz podróży na to. — Ja jestem adwokatem!

— Ale jaki warunek!... Mój adwokat musi być chrześcijanin!

— Rozumiem!... — to rzekłszy, rozpiął pan mecenas gors koszuli i pokazuje medaiik. — Masz pan go w mej osobie!

— Tak!... Muszę panu jednak powiedzieć, że chciałbym, aby on miał żydowską głowę — chciał mu bowiem dać do poznania, że to proces dość zawikłany.

— U mnie to akurat jest!... Ja się wychrzciłem dopiero przed miesiącem!... Tu nikogo niema, mogę pokazać!...



Gdzie ma stanąć Opera?

(Z nierozpisanej przez Redakcyę ankiety.)

Otrzymaliśmy pismo następującej treści:

„Znając bezstronność Szan. Redakcyi i Jej uczynność o ile rozchodzi się o kwestye ogół obchodzące, zwracam się z pełną ufnością, że i mój głos znajdzie też odpowiednie miejsce.

A chyba nikt nie zaprzeczy, że kwestya aktywowania w Krakowie opery i budowa dla niej przybytku mają wielkie znaczenie dla ogółu.

Wyłoniły się już rozmaite projekty, ale same zaściankowe, gdyż żaden dotąd nie wyszedł za rogatki miasta, a nie trzeba o tem zapominać, że okoliczne gminy chciałyby też coś skorzystać z bezpośredniego sąsiedztwa Krakowa.

A cóż dotąd mają?.. Na Grzegórzkach jest rzeźnia miejska, a w Kobierzynie szpitał waryatów.

Teraz więc nadarza się i czas i sposobność, aby złe naprawić i operę wybudować na Woli Justowskiej. Okolica nadaje się zupełnie, czego dowodem, że na wiosnę śpiewają tu słowiki, śpiewacy więc rodzaju ludzkiego mogą śpiewać przez cały rok, nie potrzebując nawet siadać na drzewach.

Mam tutaj nadającą się akurat na ten cel parcelę, którą, ze względu na ogólne dobro odstąpiłbym za bardzo przystępną cenę, niewiele więcej ponad własne koszta.

Jako członek Rady miasta, postaram się, aby tramwaj doprowadzono aż na Wolę Justowską, pozatem nie należy zapominać o tem, że budują się tutaj hotel Bisanza, o ile więc przedstawienie skończyłoby się później, będzie gdzie zanocować.

Dla miasta będzie to bardzo korzystne, nie ulega bowiem wątpliwości, że wtedy rozszerzy się ono właśnie w tą stronę. A jest tam bardzo zdrowo!... Ani zbyt sucho, ani zbyt mokro, na wiatry żaden z mieszkańców nie narzeka. Mecenasi sztuki i amatorzy opery mogliby sobie tutaj pobudować wille, a z pewnością żaden nie narzekałby na brak rozmaitości. Rano kąpiel w Rudawie, w której się nikt nie utopi, gdyż jest płytka, popołudniu spacerek na Panieńskie Skały (naturalnie w miłem towarzystwie!...), wieczór opera!... Jednem słowem żyć tu, a nie umierać, choć nawet i umierać tu warto, choćby tylko ze względu na piękne widoki, jakie się roztaczają z cmentarza zwierzynieckiego. Jeszcze żaden nieboszczyk na to nie narzekał!

Decydujące czynniki niech zatem wezmą tą sprawę pod rozwagę, ale niech się spieszą, gdyż mam już kupca na swą parcelę.

Przyjm, Szanowna Redakcyo, zapewnienie mego szacunku

X. Y., radca miejski".

Andrusowski humor.

Po obiedzie, aby sobie odetchnąć świeżem powietrzem, wybrał się pan radca na przechadzkę na plantacye. A było to bardzo wskazane, zjadł bowiem coś niestrawnego.

Idzie tedy pan radca aleją, a widząc, że nikogo niema w bliskości, czując potrzebę ulżenia sobie, by się pozbyć rozpierających go gazów, wypuszcza ze siebie powietrze... ale nie ustami!

To mu ulżyło... Nie wiedział jednak, że tuż za nim postępował chłopak szewski, odnoszący gościowi naprawione kamaszki.

Chłopak sądził w pierwszej chwili, że to grzmi, ale się rychło zoryentował, że grzmoty w tym czasie są rzadkością i, wyprzedając radcę, zwraca się doń z uśmiechem, na jaki tylko krakowski andrus może się zdobyć:

— Dobrodzieju!... Ja to dobrodziejowi rozmienię na drobne!...

I podskakując wesoło, powtórzył to samo, co radca, ale nie tak, jak on, z godnością i poważnie lecz w krótkich, przerywanych odstępach, poczem znikł na zakręcie drogi.

Z listów Hermogenesa Klapy.

Kochana Redakcyo!

przedwojennych czasach tłukł się Wiluś po całej Europie, niczem Marek po piekle i gadał jak najęty, choć się to nieraz kupy nie trzymało. Dziś siedzi sobie spokojnie w Holandyi na du...żym fotelu fotelu, zażywa tabakę i kładzie pasyansa, jak na porządnego emeryta przystało, a ja zająłem jego miejsce i podróżuję po całej Europie z kąta w kąt skoro tylko Ojczyzna zawoła do apelu.

Narazie jestem w Paryżu, dokąd wezwała mnie nie Ojczyzna, ale imieniem koalicyi Clemenceau, abym w dniu 10. stycznia przekonał się na własne swe oczy, że Niemcy traktat pokojowy z wszelkiemi klauzulami podpiszą, a potem go nie dotrzymają.

Uroczystość podpisania odbyła się w sali zegarowej, gdzie się znajduje bardzo piękny zegar z kukułką. W chwili, gdy wchodzili do sali delegaci niemieccy, wybiła właśnie godzina, a kukułka zawołała: „A kuku!...“ i to tak wesołym głosem, że wszyscy są pewni, iż wojna już się naprawdę skończyła.

Wszystko odbyło się według ogłoszonego porządku dziennego, a nad wykonaniem dokładnego programu czuwał mistrz ceremonii, z postawy i miny bardzo podobny do naszego pana Kosobudzkiego. Tem się chyba różnił od niego, że „Smoka“ nie wynalazł i mówił po francusku, nie po polsku.

A propo „Smoka“, muszę zaznaczyć, że choć w Paryżu potwora tego nie znają i niema osobnego Zakładu czyszczenia miasta, śmieci jest stanowczo mniej niż w Krakowie.

Parada rozpoczęła się wzajemnymi ukłonami, poczem nastąpiło podpisanie protokołu, zakończyły znowu ukłony.

Clemenceau, wziąwszy w rękę podpisany już protokół, odetchnął głęboko i rzekł:

— No!... Kamień mi spadł z serca!...

Mówił naturalnie po francusku, bo tam nawet małe dzieci posługują się tym językiem. Na każdym kroku przekonuje się człowiek, że jest w kraju cywilizowanym i nigdy nie pozwoliłby sobie naprzykład na potarcie nosa palcem, co u nas w domu jest rzeczą przyjętą.

Spojrzałem pod stół, ale owego kamienia nie widziałem nigdzie. Prawdopodobnie musiał się go Clemenceau pozbyć wcześniej, zwłaszcza, że bezpośrednio przedtem wychodził gdzieś z kluczykiem.

Niemieccy delegaci rzekli zaś z ulgą:

— No!... Pozbyliśmy się nareszcie czyraka!...

I widocznie mówili prawdę, zauważyłem bowiem bowiem, że siedzą daleko swobodniej, niż poprzednio.

Po skończonej ceremonii miałem zamiar ulotnić się, gdyż akurat na ten czas wyznaczyła mi randkę pewna paryska gryzetka, której obiecałem, że ją wezmę ze sobą do Polski i postaram się, aby tutaj została profesorką języka francuskiego. Wychodzę ze założenia, że młodzi ludzie najłatwiej się go w ten sposób nauczą i zaraz po powrocie do kraju wygłoszą na ten temat odczyt z demonstracyami. (Wstęp tylko dla dorosłych!... Tytuł: „Praktyczne wszczepianie zasad języka francuskiego i poprawnej paryskiej wymowy“...).

Ale widocznie nie było zapisanem w księdze przeznaczenia abym się z nią dziś spotkał, niespodziewanie bowiem przystąpił do mnie „stary tygrys“. Clemenceau i rzekł:

— Panie Klapa!... Czy mógłbym prosić na słóweczko?

— Nawet na dwa, ekscelencyo! — odpowiedziałem z ukłonem.

— No!... Nareszcie *finite la komedie!*... Wlekło się to i wlekło, ale przecież się skończyło!... I co pan na to?

— A nic! — zauważyłem skromnie, widząc kręcącego się koło nas sprytnego korespondenta *New Yorks Heraldu*, który polował na to, aby usłyszeć bodaj jedno słowo z naszej rozmowy, a reszty się domyśleć.

— Przepowiadałeś pan, że nie podpiszą...

— Widocznie zmienili zdanie!... Ale czy dotrzymają?

— To już ich rzecz!... Ja zrobiłem swoje i reszta mnie już nie obchodzi!... Nam do pana łaskawego zupełnie prywatny interes!...

— Bardzo proszę!... Zamieniam się cały w ucho!

— Panie Klapa!... Ja się chcę, a raczej ja się muszę ożenić!... I co pan na to?... Pan jest mądry człowiek, proszę mi więc powiedzieć otwarcie, nie owijając w bawełnę!

— Czego nie miałbym owijać?

— No... swego cennego zdania!

— Excellencyo!... Jeśli okoliczności zaszły tak daleko, że pan żenić się musi, to ja nie mam nic do radzenia!... Raczej zapytałbym, ze względu na wiek, czy pan żenić się może?

— Otóż to mądre zdanie!... Jak to przyjemnie trafić na roztropnego i doświadczonego człowieka!... Tak!... Grunt, czy ja się żenić mogę... Nad tem warta się zastanowić...

— I to poważnie!

— No!... W mym wieku chyba mnie pan nie posądzi o lekkomyślność!...

— Bo to tatwo powiedzieć sobie: ja chcę!... Same chęci nie wystarczą... Albo „ja muszę!...“ A może to winę ponosi kto inny, nie ekscelencya?

— Nie rozumiesz mnie pan, panie Klapa!... Ja nie dlatego chciałbym się ożenić, że znalazłem się w położeniu, z którego honor prowadzi do urzędu stanu... Ja mam zamiar kandydować na prezydenta Francyi, a powiadają, że prezydent musi mieć żonę, aby miał kto robić honory domu w pałacu Elizejskim!

— Aha!... Tędy go wiedli!... Ja jednak nie słyszałem o tem, aby prezydent musiał mieć żonę... Znam wielu nawet tęgich prezydentów, którzy są wdowcami lub kawalerami i dobrze im z tem!... Ot, niedaleko szukać, nasz pan Federowicz!

— Tak!... ale u nas panują zupełnie inne obyczaje niż u was!...

— Hm!... W takim razie moje pytanie było zupełnie na miejscu. Jeśli już ekscellencya rezygnuje ze spokoju domowego, trzeba odpowiedzieć na pytanie: mogę, czy nie? Ośmdzie siąt lat, to nie żarty, zwłaszcza ze względu na przysłowie: „Po kopie, po chłopie!...“

— Tak, to prawda!... Ale inne przysłowie że jest się mężczyzną, dopóki ma się palec i...

— To jednak do szczęścia nie wystarcza i spokoju domowego nie zapewnia!

— Wiem o tem! Byłem przecież żonaty!... Hm!... Gdybym ja wiedział, czy mogę?

— Bardzo łatwy sposób, przekonać się o tem...

— W jaki sposób?

— Zrobić maleńką próbę!... Uda się to dobrze, nie uda, w takim razie powiedzieć „do widzenia!“ tak małżeństwu, jak i prezydenturze!.., Jakże zrobił bohater krotochwili: „Czy jest co do oclenia?...“ Już zwątpił o sobie, ale przecież posłuchał rady przyjaciela, spróbował i przekonał się, że nie jest jeszcze tchórzem niedołęgą za jakiego się uważał!

— Zatem pójdę i ja w jego ślady!... Sądzę, że mi pan swych cennych wskazówek nie odmówisz!...

— Naturalnie, że nie!... A składa się bardzo dobrze, bo właśnie miałem iść na randkę z pewną facatką. Jeżeli ekscellencya sobie życzy możemy zraz...

— Tak!... Zaraz!... Kujmy żelazo, póki gorące!... Czuję się teraz człowiekiem „czynu!...

— No!.. Tylko nie tak ostro!... Zbytni za pał szkodzi, a koń, który rusza galopem z miejsca, w drodze zwykle staje!...

— O tak!... Wiem o tem z doświadczenia!... Zatem w drogę!... Dla dobra ojczyzny jest człowiek zdolnym do najdalej idących poświęceń!...

I poszliśmy, a co się potem stało, to już pokrywa mgła tajemnicy. A ten wieczór był w samej rzeczy bardzo mglisty...

Nie szczędziłem mu naturalnie fachowych, a opartych na osobistem doświadczeniu wskazówek, do których się widocznie zastosował, na drugi dzień rano otrzymałem od niego bilecik tej treści:

„Kochany Klapa! Zwątpiłem już o sobie, ale ty natchnąłeś mnie ufnością w swe siły!... Dzięki Tobie będę prezydentem!... Dziś się oświadczam!

Wdzięczny do grobowej deski

Clemenceau“.

Gdybym wiedział, że i mnie zrobią jakim prezydentem, kto wie, czy i ja nie ożeniłbym się, zwłaszcza, że nie mam ośmdziesiątki i bez prób się obejdzie!...

A teraz karnawał, więc czas zupełnie odpowiedni! Na razie szukam jakiej przyjaciółki w Paryżu, tamtą bowiem odbił mi „stary tygrys“, który powiada „do trzeciego razu próba!...“

A nie objedzcie się zanadto pączkami, tego Wam życzy

Wasz

Klapa.

Odpowiedzi Redakcyi.

Rutra Iks. Wiersze Pańskie nie są pikantne, lecz nieprzyzwoite i niesmaczne. Jeden z nich p. t. „Księża przygoda“ jest strewestowanym pomysłem „Z pamiętników zakochanego pazia“ K. Krumłowskiego.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpowiedzialny redaktor: Konstanty Krumłowski. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarządem Stefana Karczmarskiego.



Ona: A po reducie odprowadzisz mnie do domu?

On: Naturalnie, ale — do mojego!...